Rozmaitości

Dnia 17. Października Ner. 42. Roku 1840.

GASPARD de BESSE.

Na początku wieku ośmnastego, żył w Prowancyi jeden z owych zuchwałych ludzi, którzy głośni z swych zbrodni, na postrach mieszkańców i długą pamięć u ludu, od czasu do czasu w krajach się pojawiają. Jednym z takich był Robin Hood w Anglii, Fra Diavolo we Włoszech, Rob Roy w Szkocyj, José w Andaluzyi, a Gaspard de Besse w Prowancyi. Piasczyste wybrzeża rzéki Durans i zielone wzgórza Waru, były widownią jego rozbojów. Wymykał się on z wszelkich zasadzek i w czasie gdy w jednéj stronie nań czatowano, on na drugiéj bezkarnie łupieżył.

Z trwogą opowiadali włościanie o dziwnych przygodach tego słynnego zbójcy, ale właściwie nie czuli ku niemu nienawiści. Napadał on i łupieżył zamki, lecz bezpieczną była przed nim włościańska chata; a choć na bogatych podróżnych, przejeżdzających przez jego okolicę, wielki nakładał haracz, jednakże nie napaścił nigdy ubogiego kmiotka. Gaspard de Besse nie rozléwał nigdy krwi ludzkiéj prócz dla własnéj obrony; jakoż nigdy nie obwiniano go o zabójstwo, gdyż on wolał zrzéc się zdobyczy, niżeli ją kosztem ludzkiego życia miał okupić.

Znakomite damy w Aix nie czuły ku śmiałemu zbójcy żadnego wstrętu, gdyż on był bardzo uprzejmy. Opowiadają nawet, że miał duże, łagodne, piękne oczy, jak śnieg białą rękę i bardzo gęste, ciemne włosy. Utrzymywano powszechnie, że częściéj szukał sposobności ucałowania ręki pięknéj damy, niż zdjęcia z jéj palców pierścieni.

W miesiącu lipcu wyjechała pani Servaine do swego nad brzegiem rzéki Durans położonego zamku. Upał w téj porze roku w Prowancyi jest tak nieznośny, iż nikt za dnia nie odbywa podróży, jeżeli tego konieczna nie wymaga potrzeba. Z tego powodu pani Servaine wyjechała z Aix pod wieczór a noc zaskoczyła ją właśnie gdy powóz wjechał do wąwozu, który ku wiosce *Sainte-Marie de Reparade* prowadzi. Margrabina przewidując, iż przed zmrokiem na miejscu przeznaczenia stanąć nie będzie mogła, i obawiając się, by na nią nie napadł Gaspard de Besse, ktory się z swoją bandą po okolicy Aix wałęsał; rozkazała swym ludziom mieć się na baczności. Cztéry konie ruszyły z miejsca tak spieszno, jak tylko nierówna droga dozwalała; woźnica miał pistolety za pasem, a dwóch służących podobnież było zaopatrzonych bronią. Piękna margrabina zabezpieczona tym sposobem od wszelkiego napadu, drzymała w swym powozie; niekiedy tylko odemknęła snem sklejone powieki i patrzyła z-dala na śrebrne nurty Duransu. Wyjechawszy na wzgórze okryte lasem, nagle zatrzymał się jéj powóz otoczony od zbójców, którzy uzbrojeni od stóp do głowy, straszliwie na nią poglądali. Ludzie margrabiny widząc, iż wszelki opór byłby nadaremny, uznali za rzecz najrozsądniejszą, na łaskę zbójców się poddać. Drząca, zalękniona piękna niewiasta, pozdéjmowała z siebie czémprędzéj bransolety, pierścienie, tudzież inne klejnoty

i osłoniwszy twarz swą welonem, podała zbójcom pełną garść kosztownych rzeczy.

Téjże samej chwili padło z pistoletów kilka wystrzałów, i piorunem wleciało pomiędzy rozbójniczą bandę dwóch jeźdców, którzy szablami na nię natarli. Na ten widok pani Servaine nie mogła w sobie stłumić radośnego wykrzyku, jednakże natychmiast cofnęła się w głąb powozu, i poduszkami zasłoniła głowę. Jak długo zostawała w tym stanie, tego przypomnieć sobie nie mogła; otrętwiałą prawie z przestrachu obudził jakiś głos łagodny, który w najgrzeczniejszym sposobie upraszał ją, aby się uspokoiła, gdyż banda zbójców Gasparda de Besse poszła w rozsypkę, a pani margrabina podróż swoję bezpiecznie daléj odbywać może.

Na to wezwanie margrabina nabrała odwagi i spojrzawszy, poznała pośród blasku księżyca dwóch uprzejmych mężczyzn, którzy stojąc przy jéj powozie, z uszanowaniem kapelusze w ręku trzymali. Pani Servaine dowiedziała się, że jeden z nich jest pan Prieuré z Awinionu, i że jedzie z swoim służącym do małéj majętności, którą w poblizkości *Sainte-Marie de Reparade* niedawno kupił. Pan Prieuré towarzyszył pięknéj margrabinie aż do bramy jéj zamku Arnajon i nie pożegnał się z nią, aż pokąd nie uzyskał pozwolenia dowiedzieć się nazajutrz o jéj zdrowiu.

Ten dzień nadszedł, a margrabina chociaż strachem przejęta, jednak przy swéj bladości bardzo piękna, przyjęła z wszelkiémi oznakami wdzięczności i poważania szlachetnego męża, który się na tak wielkie dla niéj naraził niebezpieczeństwo i tak ważną wyświadczył jéj przysługę. Spostrzegła także, że pan Prieuré z bardzo przystojną powierzchownością łączył przyjemne zachowanie się, i bardzo grzecznie znaleźć się umiał. W postępowaniu jego widać było pewną powagę na dumę zakrawającą, a blizna na jego czole udowodniała, że był odważnym.

Rzecz jasna, iż znajomość rozpoczęta śród tak romantycznéj przygody, bardzo snadno w przywiązanie zamienić się mogła. Wiejski pałacyk pana Prieuré leżał całkiem w poblizkości zamku pani Servaine; jakoż nie zaniedbał on codziennie uczęszczać do jéj domu, a piękna margrabina była bardzo zmartwioną, jeżeli czasem w zwykłéj godzinie nie przybył jéj nowy i uprzejmy przyjaciel, który swoją rozmową i zachowaniem się, stał się dla niéj prawie niezbędnie potrzebnym. Ale chociaż z towarzystwem tamtejszéj okolicy zdawał się zupełnie być obeznanym, oświadczył jednak, że w teraźniejszych swych stosunkach nie życzy sobie z niém mieć zażyłości, jakoż ilekroć przyjechali goście do margrabiny, pan Prieuré natychmiast się oddalał.

Wypadek, który się margrabinie był wydarzył, zwrócił na siebie całéj okolicy uwagę, a nawet szeptano sobie tę nowinkę, że piękna wdowa ku swojemu wybawcy tkliwe przywiązanie powzięła. Pogłoska ta na tém większą zasługiwała wiarę, ileże pani Servaine, która zamyślała tylko przez dni kilka zabawić w swoim zamku, jednakże zostając w nim już od kilku tygodni, ciągle jeszcze ani słowa o odjeździe nie wspominała. Jakoż wiejskie ustronie to przypadło i panu Prieuré do smaku; młodzi i przystojni oboje, bawili prawie po całych dniach ze sobą razem, a więc rzecz jasna, że cały ten romans na zamęźcie zakrawał.

Jednego poranku, kilku przyjaciół widocznie ciekawością znęconych, przyjechało do zamku Arnajon niespodzianie. Pan Prieuré, który nie był o tém zawiadomiony, zdziwił się mocno, zastawszy podczas zwyczajnych swych odwidzin, liczne towarzystwo u margrabiny. Chociaż zdarzenie to było dla niego bardzo nieprzyjemne, jednak nie okazał tego po sobie, rozmawiał bardzo uprzejmie z gośćmi, jadł z nimi śniadanie, a potém wziąwszy margrabinę pod rękę, poszedł z nią i z gośćmi do ogrodu. Przez cały ten czas jeden z gości, hrabia Fontenay, zaczął mocno brać na oko pana Prieuré, w którym uwaga ta jakieś nieprzyjemne uczucie obudzać się zdawała. Wkrótce potém rzekł kilka słów pocichu do swego strzelca, który się zaraz oddalił. Po niejakim czasie powrócił strzelec i szepnął coś swemu panu do ucha. Spostrzegłszy to Prieuré, który właśnie z margrabiną siedział w altanie, powstał z miejsca i prosił ją

o przebaczenie, że się spiesznie oddalić musi, gdyż ma bardzo ważną załatwić sprawę.

»Stój!« krzyknął w téj chwili hrabia Fontenay; »dłużéj oszukiwać, już ci się nie powiedzie.«

Na te słowa zapytali wszyscy obecni, co hrabia przezto rozumié.

»Wspiérajcie mnie przyjaciele«, odrzekł tenże, »schwytajcie tego człowieka! Czyliż nie poznajecie w nim Gasparda de Besse?«

»Jeżeli tak jest w saméj rzeczy, mości hrabio, natenczas nie na lada kogo się odważyłeś«, odparł spokojnie obwiniony, i schwyciwszy pistolet przez służącego podany, utorował sobie drogę pośród obecnych, którzy niespodzianym strachem przejęci, w ucieczce przeszkodzić mu nie mogli. Dostał on się szczęśliwie z służącym swym do fórtki ogrodowéj, przy któréj stały na pogotowiu dwa konie, których dosiadłszy obadwaj, jak wiatr pognali.

Nie potrzebujemy nadmieniać, jakie uczucie obudziło się w sercu margrabiny, gdy spostrzegła, jak wielkie zagrażało jéj niebezpieczeństwo, gdy się zwolna cała prawda rozświéciła przed jéj oczyma, i gdy się przekonała, jak haniebnie od tego śmiałego człowieka zawiedzioną została.

Na drugi dzień z-rana znaleziono dwa listy, jeden w buduarze z napisem do margrabiny, a drugi na kominku w sali jadalnéj do hrabiego Fontenaj. Ten ostatni był krótki i następującéj osnowy:

»Zobaczymy się mości hrabio. Gaspard de Besse nie zapomina nigdy i nie przebacza urazy. Gdy chwila zemsty nadejdzie, pamiętaj, że jéj nie ujdziesz.«

Drugi list zawiérał co następuje:

»Odkryję teraz tajemnicę, któréj pomimo sposobności wydarzonéj wielokrotnie w twym domu pani, nigdy ustnie wyznać nie śmiałem, a któréj z każdego spojrzenia i każdego słowa mojego zapewne się domyśliwałaś. Wiedz o tém, powabna margrabino, że cię ubóstwiam, i że nie w nadziei złagodzenia twéj wzgardy, ani téż w myśli łaskawego przebaczenia, lecz niestety! jedynie dla uniewinnienia się oświadczam, że cię kocham serdecznie! Przybywać codziennie obok ciebie, słuchać twego miłego głosu, zatapiać się w lubém spojrzeniu twoich oczu i starannie ukrywać przez tobą mój stan prawdziwy, — to było od kilku miesięcy mojém szczęściem, to było moją zbrodnią! Ale zapytaj swego serca, ażalim nie godzien przebaczenia? Jestem zbójcą, wygnańcem. Dopuściłem się wszelkich owych bezprawiów, o jakie twoi przyjaciele a moi wrogowie mnie obwiniają, ale ty byłaś święta w moich oczach! Jeżeli zasłużyłem na twą nienawiść, to zapewne tylko przez przywiązanie ku tobie, którego nawet nie oświadczyłem. Przypomniéj sobie, piękna margrabino, ileżto razy nie byłaś w mojéj mocy, a przecież nigdy jéj na złe nie użyłem. Przez krótki przeciąg czasu doznawałem niewinnego, szczęśliwego sposobu życia, i bez skruchy poglądam na ten czas upłyniony. Chciéj przyjąć odemnie najszczérsze błogosławieństwo — pobyt mój w pobliżu twojém, uczynił mnie godnym dania ci błogosławieństwa — bądź zdrowa!«

»Gaspard de Besse.«

Słynny zbójca zaprzestał był przez niejaki czas nieprzyjacielskich kroków, a mieszkańcy okolic tamtejszych zaczynali się już cieszyć bezpieczeństwem i spokojnością; atoli zaraz po wydarzonym w zamku pani Servaine wypadku, przybrały łupieztwa Gasparda i jego bandy jeszcze groźniejszą postać niżli przedtém. Zbójcy rabowali pałace i dopuszczali się bezprawiów wszelkiego rodzaju; jednakże wszystko co tylko do pani Servaine należało, nietkniętém pozostało. Na polach jéj nie zerwano aby jednego kłosa, w winnicach nie uszczknięto ani jednego winogrona, i śród powszechnéj trwogi, ona jedna tylko była bezpieczna i spokojna. Lecz jakkolwiek w sercu swojém mogła czuć jakoweś przywiązanie ku romantycznemu zbójcy, wszelako duma nie pozwalała jéj wydawać się z swojém w téj mierze ubolewaniem; dla tego trudno zgadnąć, czy z umartwienia czyli téż z próżności, przyjęła oświadczenia hrabiego Fontenaj, który od czasu jak margrabina owdowiała, gorliwie o jéj rękę się starał.

Hrabia, który po wydaleniu nadzwyczajnego kochanka margrabiny, ciągle jako gość bawił w jéj zamku, zwykł był każdego rana w poblizkie lasy jeździć na polowanie

Panujące we wszystkich dobrach, które do pani Servaine należały, bezpieczeństwo, tudzież doniesienia policyjne, że Gaspard do górnéj Prowancyi przeniósł się z swoją bandą, utłumiły wszelkie w téj mierze podejrzenie, a pan Fontenay rozrywał się polowaniem podług swego zwyczaju bez wszelkiéj broni, oprócz szpady, która zawsze przy sobie nosił.

W takim składzie rzeczy upłynęła połowa miesiąca września, a młody myśliwy przejéżdżał jednego poranku przez samotną, na około lasem zarosłą dolinę; aż oto za jednym razem wypada z po-za krzaków dwóch ludzi, którzy stają na przeciw niemu. W okamgnieniu poznał hrabia Gasparda i jego służącego. O ucieczce nie było można ani pomyśléć. Koń zbójcy znany był z swéj rączości, i nieraz dał w téj mierze dowody, a z resztą, hrabia nie miał zwyczaju ustępować nikczemnie z placu potyczki, choćby takowa była nawet nad jego siły. Dobywszy więc szpady, zamyślił bronić się do upadłego.

»Przyrzekłem ci, mości hrabio«, rzekł Gaspard, »i dotrzymuję słowa. Jesteś teraz w méj mocy, i nie sądź, że mi umknąć potrafisz.«

—»Albož się o to starałem?« odrzekł hrabia oziębłe. »Jeżeli zamierzasz odebrać mi życie, wiédz o tém, że go bez walki nie odbierzesz.«

»Gdybym cię mości hrabio chciał zabić«, odrzekł Gaspard z pogardą, »bądź przekonany, iżby to nie wiele pracy mnie kosztowało.« To rzekłszy, wskazał na swe pistolety za pasem. »Lecz nie jestem zabójcą; wyzywam cię na pojedynek!«

»Żartujesz«, odrzekł Fontanay. »Od kiedyżto mężowie mojego urodzenia mają zaszczyt pojedynkować się z rozbójnikami?«

»Jeżeli żądasz, aby przy téj sposobności szlachecka krew płynęła«, odparł Gaspard z uśmiechem, »więc i w tym razie dostatecznie zaspokoić cię mogę.«

To rzekłszy, zbliżył się do hrabiego i ująwszy go za ramię, zanim się hrabia spostrzegł, schylił się ku niemu i rzekł mu coś z pośpiechem do ucha. Zdziwiony hrabia odrzekł:

»Jestżeto istotną prawdą? A to rzecz nadzwyczajna!«

»Przysięgam na zbawienie méj matki, któréj grób z herbem widziéć możesz w katedrze w Aix.«

»No, teraz jestem gotów mierzyć się z tobą«, odrzekł hrabia Fontanay, który razem z Gaspardem skoczył z konia, i natychmiast walka się rozpoczęła. Gdy się po raz trzeci zmierzyli, Fontanay ranny mocno, i rozbrojony, padł na ziemię z strzaskaną bronią.

Gaspard zbladł okropnie na całéj twarzy, zdawało się, iż gwałtowne uczucia wichrzyły w jego sercu. Schyliwszy się nad poległym przeciwnikiem, zamierzył już szpadą ugodzić go po raz ostatni, aż oto nagle wycisnął głębokie z swojéj piersi westchnienie, i z wielkiém natężeniem cofnął się od hrabiego.

»Nie! nie uczynię tego«, rzekł głośno, »niech nie mówią, iż Gaspard zabił pokonanego i rozbrojonego przeciwnika. Wstań hrabio Fontenay, i jedź w imię boskie, ale przede-wszystkiém zapomniéj o mnie. Jeżeli się znowu kiedy spotkamy, wtedy najrozsądniéj sobie postąpisz«, dodał z uśmiéchem, »gdy udasz, że mnie nie znasz zupełnie.«

To rzekłszy, dosiadł rumaka i zniknął z swym służącym śród lasu.

Hrabia wystrzegał się troskliwie wspominać o swéj przygodzie. Dla odniesionéj rany i złamanéj szpady, wymyślił pewną wymówkę i nalégał na piękną wdowę, by wyznaczyła dzień, w którym odbędzie się wesele.

Od tego czasu upłynęło kilka miesięcy, a w zamku Arnajon poczyniono do tego festynu wielkie przygotowania. Zaproszono dobrane towarzystwo, by obecne było przy podpisaniu małżeńskiego kontraktu, a najznakomitsze familije z Aix zgromadziły się do ozdobnych pokojów narzeczonéj. W całym zamku panowała wesołość i swoboda, całe towarzystwo zabawiało się bardzo przyjemnie; aż oto nagle usłyszano, iż jakiś jeździec cwałem na dziedziniec zamku wpędził. Wkrótce potém rozwarły się podwoje, a jakiś nieznajomy pan, okryty kurzem i owinięty płaszczem, wszedł poważnie do sali.

»Bogu dzięki!« rzekł, »że jeszcze w czas przybywam.«

To rzekłszy, zdjął z głowy széroki z obwisłemi krysami kapelusz, który rysy jego twarzy zasłaniał, a nowożeńcy poznali natychmiast, że to był Gaspard de Besse. Pani Servaine zjęta przestrachem, rzuciła się w objęcie pana Fontenay, który w piérwszym zapale gniewu dobył szpady. Wszyscy obecni panowie poszli za tym przykładem; lecz Gaspard błysnąwszy na nich pogardzającym wzrokiem, odwinął swój płaszcz i pokazał im, że pistoletami jest uzbrojony.

»Milczcie i słuchajcie«, rzekł imponującym głosem; na ten rozkaz każdy z gości spuścił mimowolnie ku ziemi swoję szpadę. »Nie przybyłem tu«, rzekł, »aby wam szkodzić, lecz aby was ocalić. Zamek ten na około jest otoczony. Za chwilę przybędzie tu pięćdziesięciu ludzi, którzy tak są odważni, jak wy, co przedemną stoicie, ale nierównie lepiéj są uzbrojeni, a za jednę kroplę krwi mojéj, wszyscy trupem padniecie. Zawiérzcie mi«, dodał, gdy spostrzegł niezdeterminowanych wielu gości, »że was głos mój

więcéj niż wszystkie wasze szpady ocalić może. Pochowajcie swe szpady, a mnie zostawcie wolność działania. Zachowajcie się całkiem spokojnie, a ja ręczę za was głową moją, inaczéj wszyscy nieochybnie poginiecie.«

Zaledwo że to wyrzekł, aż oto krzyk i jęk rozległ się po całym gmachu; na dziedzińcu i ogrodzie, już się pojawili bandyci i wysadziwszy przemocą bramę, groźnym wzrokiem zaglądali przez okna. Niespokojność i trwoga opanowała wszystkich w sali będących. Gaspard pełen odwagi, stał spokojnie przy struchlałéj margrabinie, która ledwo na nogach się trzymała. Gdy bandyci zbliżyli się na kilka kroków do przestraszonych gości, wtedy ukazał się ich naczelnik, naprzeciw nim występując. Bandyci powitali go głośném uradowaniem; ale na jego skinienie umilkli i jakby czarodziejską władzą zniknęli w przedsionkach, gdzie w cichości i nie ruszając się z miejsca, na rozkazy jego czekali. —

»Teraz zabezpieczonymi jesteście«, rzekł do towarzystwa. »Dopiéro dzisiejszego rana dowiedziałem się o planie, który jeden z moich zastępców wykonać postanowił. O dziesięć mil byłem oddalony od tego zamku, który téj nocy zrabować miano. Z tąd widzicie, jak potrzebną była obecność moja, a wszelki opór byłby się na nic nie przydał.«

To rzekłszy, przystąpił do stołu, na którym leżał rozwinięty kontrakt ślubny, wziął do ręki pióro i schyliwszy się podpisał obok innych świadków swe imię; któżby miał mu tego zabronić? Gdy się to stało, ugiął całkiem spokojnie, jak gdyby nic szczególnego nie zaszło, przed panią Servaine kolano, wyjął pierścień z swojego trzosa i włożywszy go na jéj palec, prosił, aby go na pamiątkę jego odwidzin nosiła.

Margrabina spłoniła się poznawszy pierścień, który mu dała w przyjaznéj chwili, gdy jéj jeszcze prawdziwy stan jego wiadomy nie był.

W kilka chwil późniéj dzieliła już rzéka Durans od zamku Aranjon Gasparda z jego bandą.

Po upływie lat kilku schwytano tego groźnego herszta zbójców i na śmierć skazano. Wiele osób znakomitych używało wszelkich sposobów by otrzymać dla niego ułaskawienie, szczególniéj hrabia i hrabina Fontenay, wstawiali się za nim całym swym wpływem, lecz wszystko nic nie pomogło. Wyrok sądu wykonany został w całéj surowości karnego prawa, a Gaspard de Besse był publicznie na rynku w Aix kołem łamany.

O ZBLIŻENIU DYJALEKTÓW SŁAWIAŃSKICH MIĘDZY SOBĄ.

(Z listu pana Linde, z Warszawy, do rossyjskiego ministra oświecenia pod dniem 15. (27.) Grudnia r. z., z »Gazety Porannéj.«)

Professor Pogodin, który w czasie krótkiego swego tu pobytu, zdołał wejść w moje myśli co do zbliżenia gałęzi języka sławiańskiego pomiędzy sobą*), i zabrał do Moskwy obszérny wyjątek z moich notat, lepiéj odemnie rzecz tę objaśni J. W. panu. Zuchwalstwem byłoby z méj strony przedsiębrać dokonanie podobnego dzieła, o którém ciągle marzę; braknie mi do tego sił fizycznych i umysłowych, i długości życia, i zasobu naukowych, w téj mierze niezbędnych wiadomości; lecz idea, którą pielęgnuję w sobie, mojém zdaniem, na zupełną uwagę zasługuje, i skoroby należycie była uskuteczniona, mielibyśmy utwór, godny Sławiańszczyzny, rozległego Państwa, zwierzchniego opiekuna wszelkiéj prawdziwéj i pożytecznéj umiejętności, starań męża, ze swych zasług i w ojczyźnie, i za granicą znakomitego, męża, któremu poruczoném zostało naukowe młodzi ukształcenie. Co się tycze mnie, poprzestanę na obowiązkach spółpracownika w ułożeniu tego dzieła; jestto moja myśl jedyna (*idée fixe*). Przy téj okoliczności przychodzi mi przytoczyć wyborny ustęp z najprzedniejszego utworu nieśmiertelnego Göthe, z jego Tassa: »*Verbiete du dem Seidenwurm zu spinnen, wenn er sich schon dem Tode näher spinnt.*« (Zabróńże jedwabnikowi prząść, gdy już jest blizkim swojéj przemiany.)

Jak tylko wyjdzie na jaw takowe dzieło, nietrudno już będzie w ówczas ułożyć Ideologiją sławiańską ze źródeł języka, a oraz sławiańską narodową Logikę, Metafizykę, Fizykę**) i t. d.,

*) Tu zachodzi pytanie: *Czém i w jaki sposób* takowe zbliżenie da się uskutecznić? Wszak *czém* się gałęzie od pnia odstrzeliły, *tém* się już i odróżniły i same dla siebie *uosobiły*. Każde narzecze jak i osoba, ma swoje urobione formy, ma swój wrośnięty typ, swoję twarz pełną właściwych znamion. Łatwo okazać podobieństwo, ale jak *dla zbliżenia* zatrzéć różnicę? Wszak wszystko w naturze trzyma się z jednostki naturą *różnicy*, ona każdego Foenomenu *koniecznością*. Język, (*Jazyk, Ja-syk*) jako produkt i Reprezentant myśli i czucia człowieka, ma ciało i ducha; *jest Noumenon i Foenemenon*, i ma środki, któremi się to dwoje i łączy i przenika. *Tosamość* ducha narzeczy, jak i wszystkich języków, może się dać uzyskać na drodze metafizycznéj, ale co do ciała, musi koniecznie pozostać jakowaś zmysłowa *różnica*.

**) Chociaż takowe dzieło wyjdzie i pod niejednym względem wiele pożytku przynieść może, jednakże niech nam wolno będzie wyznać, że się nam nie zdaje, aby z niego jako z *ułożonego* dała się *ułożyć*.

książkę do nauki dla młodzieży, uczęszczającéj do gimnazyjów, którаby mogła zastąpić Logikę lub Psychologią empiryczną*). Co za wyborne objaśnienie biegu intellektualnéj zdolności człowieka nastręczy nam rozbiór np. słowa: ***wyobrażenie,*** jeśli je wyprowadzać będziemy ze źródłosłowów: ***raz, razić, obraz.*** Czyliż nie jasno wyraża się tu przechód od obudzającego wrażenia na czucie ***(von dem weckenden Sinnenreiz)*** do obrazu ***(idei),*** który się przedstawia duszy z wewnątrz? W niemieckiém i greckiém wyrażaniu się: *ideja*, *eideja* braknie czuciowego początku *(Sinnenanfang)*, owego procesu poznawania*).

Ideologija, która koniecznością natury swojéj musi *iść z jednéj Idei w potęgę*, jako z jednego ziarna *żywy słój drzewa poznania człowieczego*. A potém, na cóż z Ideologii układać Metafizykę, kiedy Ideologija i Metafizyka jest jedno i to samo. Francuzi mając za prawdę tylko to, co smysłami pobierać, i z czego abstrakcyje czynić mogą, niemogąc zgłębić mędrców niemieckich w ich Ideach, nazwali ich Metafizykę, Ideologiją niby coś, co nierealne, niepotrzebne, bałamutne. U nas zwano ją niedawno jeszcze, mistycyzmem, dziwactwem, marzeniem!

*) *Metafizyka*, trudni się tém, co już przechodzi *Metę* poznania *smysłowego*, prawdami bezwarunkowemi, apodyktycznemi, jakże ona ma zastąpić Logikę lub psychologiję *empiryczną*? a tém bardziej Fizykę, która pod warunkiem czasu i przestrzeni? Wszak Empiryzmu *pierwoczęciem (principium, primum quod incipit)*, jest: *»Nihil est in in-tel-lectu, quod non fuit prius in sensibus.«* Nie ma nic w *Tle* naszego znania *złożonego*, co nie było już wprzód w smysłach; jestto prawda *a posteriori*; Metafizyka zaś odwraca tę prawdę i mówi: *»Nihil est in sensibus quod non fuit prius in intellectu.* Prawda *a priori*. Tych dwoje prawd ma się tak do siebie, jak się ma duch do ciała, jak się ma *Ja* do *M*, i są jedną prawdą w *Jam*, bo się przenikają i stanowią drzewo: *Znania i poznania człowieczego*; stanowią — że tak powiémy — *żywą, nieskładaną osobę* umiejętności. — Wszak nie mógłby smysł *dać*, gdyby duch *nie mógł* lub *nie chciał smysłem brać*. Wszak gdybyśmy nie mieli *pierwéj już* w sobie *czegoś*, czémbyśmy świat przedsobny poznać *mogli*, nadaremnieby się nam ten świat dla naszego poznania *przedstawiał*; albo, gdybyśmy mieli w sobie *bierliwość a priori*, a nie mieli *co* brać i *po czém* brać *a posteriori*; nasza możliwość pobiérania nie miałaby się czém ocknąć i byłaby niejętliwa, nie działająca. Świat przedsobny obudza nas, i ma czém nas obudzić, a my mamy *czém* i *poczém* go brać, to jest, *po-znać*. Ale on, dając nam wszystko, co ma, nie może nam dać naszego *Ja*, które już samo przez się w swoim *Umie* przez swój *Um* jest bezpośrednio *bierliwe*, *umliwe*, *uczliwe*, *pojętliwe* i t. d. Wszakto nie ucho słyszy i słucha, nie oko widzi i patrzy; to wszystko czyni nasze *Ja*, i wtedy tylko, *kiedy uważa i kiedy chce*; a mogłożby czego chcieć, czego szukać, patrzyć, gdyby nie miało tego już *wprzód jakoś w swojéj Idei*? i mogłożby to *znaleźć*, *czegoby nie wiedziało i nie znało wprzód jakoś*? *Antecepta est quaedam rerum cognitio*. Wszak ta nasza bezpośrednia prawda: wiémy że wiémy, czujemy że czujemy, dowodzi o téj *antecepcyi*; któż nas *módz wiedzieć* w naszém *Ja*, kto *módz czuć* w naszém *Jam* nauczył? Nie jestże ta możliwość już w naszym *Umie*, w naszém *Jam*, wprzód bezpośrednio? Nie jestżeto Idea z najwyższéj Idei, podług któréj się wszystko w naturze, tak a nie inaczéj objawić musi koniecznie, a my to wszystko, tak a nieinaczéj koniecznie, rozumem poznać *możemy*?

*) Ideja, Eideja nié ma z natury swojéj czuciowego początku, i to właśnie Ideję stanowi, bo ona zaczęciem z bezpośredniéj wiedzy, a nie początkiem; bo dopiéro częcie po częciu daje cząteк a po nim *począ-tek*, a każdy początek już *okazem usmysłowienia Idei*. *»Die Ideen der Vernunft sind reine von allem sinnlichen abgezogene Vorstellungen von Dingen, die nie in Erscheinung vorkommen, die aber in dem Wesen der Vernunft nothwendig sind, und deren Dasein durch sie (durch die Vernunft) verbürgt ist.«* Co innego wyobrażenie, wyobraźliwość, obraźność, obraz, co innego pojęcie, co innego Idea estetyczna, co innego Ideał, a co innego Idea, o któréj tu mowa. Że to wszystko bierzemy jedno za drugie lub mieszamy, to źle, bo nie odznaczamy rzeczy ściśło - umiejętnie. Każde *pojęcie*, *każde abstractum a posteriori*, przez to poznać można, że się łatwo usmysłowić, w tenże sam obraz przenieść daje, z którego, przez zbiór i związek znamion istotnych, z indywiduów wziętych, powstało; Idea zaś jako czysty *Wid Umu*, jako czysta, bezpośrednia prawda (nienabyta na drodze procesu smysłowego), jako czysta i niezmienna prawda ducha, która jego istotę stanowi, nie da się pod warunek smysłowy w żaden sposób albo bardzo trudno ująć. Gdy n. p. pomyślimy sobie *Zwierzęcość*, wraz możemy miéć obraz lwa lub wołu lub inne naoczne indywiduum; lecz pomyślmy sobie np. nasze *Ja*, lub tę ideję: *Bóg*, *Dusza*, *Wiedza*, *Wieczność*, *Nieskończenność* i t. p., mamyż tych pomysłów obraz? Dopiero musimy szukać sposobów, abyśmy te Ideje w jakiś sposób Ideami pojąć mogli; tak na przykład: *Nieskończenność* pojąć możemy, jeżeli jaką Ideę *przez się* do najwyższéj potęgi *genetycznie* wzmagać będziem. Wznosząc n. p. ilość Trzy przez Trzy, a produkt Dziewięć przez Dziewięć, jak siłę w nieustannej mocy możliwości; dowiemy się, że możemy *Nieskończennie*, nie kończąc czynić nieustanny koniec, i dowiemy się, że każda rzecz i kona się i okończa się i, jak 3/3, 9/9, 81/81..... może iść nieustannie w nieskończenność, która nie ustaje i wiecznie wzmagać się może. Tą prawdą zmordowani i o niéj przekonani, zrobimy nareszcie koniec umiejętny i powiémy: *Infinitum aequale Zero*, a tę Ideę, znowu drugą Ideą objawiać będziem; a tą drogą, tym Metodem idąc nieustannie, zajdziem w królestwo Idej, w królestwo prawd bezwarunkowych, z naszego *Ja* Ideami wysnutych, które są jedną prawdą, ale różne: jak barwy z jednego promienia. — Ta modyfikacyja *Umu*, który sam w sobie i przez się, jest piérwoczęciem, przybrała różne nazwy. *Um* w człowieku poznawczy, reflexyjny, wnioskujący, różnicujący, pobiérający z obrazów *a posteriori*, nazywamy ***Roz-umem***, ***Umem*** analitycznym. *Um* sądzący, to jest, prawdę szczególną pod ogólną podkładający i z tego *sąd* wyciągający, nazywamy ***Roz-sądkiem***. — — Idea i pojęcie, chociaż różnią się, mają to przecież spólne, że nie wzniecają czucia smysłowego; gdy n. p. pomyślimy: Liniję czysto-rozumową, nie biorącą czasu i przestrzeni lub Dziewięć, Pięć i t. p.; to Pięć, to Dziewięć, jako Pięć, Dziewięć, nie wznieci w nas żadnego czucia, bo my tego Pięć lub Dziewięć nie widzimy w naturze jako obraz indywidualnie, i z tego Pięć żadnego smysłowego obrazu nie mamy; my w naturze widzimy zawsze tylko jeden i jeden i jeden. Wszystko co jest wyrobem czystego Rozumu, to nie wzbudza, nie

Jeśli się zaś do tego doda zdawniały rzeczownik *um* i czasownik *imać, jąć,* jako wewnętrzną, przyjmującą, i przez słowo *raz* obudzaną siłę, to z tego przyjmującego się słowa *um,* powstanie *rozum:* tu także odnieść można słowa *duma,* dla tego, że je uważać należy jako *douma,* równie także *soumienie, sumnienie,* przy wyborze obrazów, przechodzi w ross. *somnienie.* Podobnież doskonale Slawianin wyjaśnić może pojęcie o zdolności czucia i chcenia, słowem, o świecie w nas, *mikrokósmos* i zewnątrz nas *makrokosmos.* Czyliż ujawszy te wszystkie objaśnienia w systemat, nie posłużą one za pomoc do ułożenia prawdziwie sławiańskiej narodowej Filozofii? *)

ZE LWOWA.

Tygodnika rolniczo-przemysłowego pod Redakcyją T. W. Kochańskiego, wyszedł Nr. 41. i obejmuje: 1) Korespondencyja z Berna. 2) Gruntowna nauka otrzymania 580—600 0/0 wyskoku, 11—12 kwart berlinsk. i t. d. 3) Sposób patentowany robienia octu w 24 godzinach, przez Chrysta Weithausera w Monachium.

W Warszawie opuściły prasę: *Stare Gawędy i Obrazy*, przez Kazimierza Władysława Wojcickiego napisane, w 4ch tomach w ósemce, z 8mią rycinami litografowanemi, z których dwie kolorowane, a jedna w wielkim formacie wyobrażająca *Widok Warszawy* z r. 1056, z dzieła Puffendorfa, historyka szwedzkiego wyjęty.

Uczony profesor heidelberski Zacharia, wspomina w podróży swojéj roku 1838 na Wschód odbytej, że w Tesalonice mieszka Polak pewien, będący tamże stolarzem. Rodzinnego jego nazwiska nie przytacza i tylko go Aleksandrem mianuje. Ożeniwszy się z Greczynką w Konstantynopolu, w Tesalonice osiadł. Pan Zacharia mieszkał w domu jego pod czas swego w tem mieście pobytu i gościnność jego wychwala.

Zakłady naukowe w Egipcie. Nietylko w samej stolicy, ale nawet w każdém większém prowincyjonalném mieście są bardzo liczne szkoły; znajdziesz także przynajmniej jednę szkołę w każdej ludniejszej włości. Prawie przy każdym meczecie, publicznéj studni, a nawet przy każdém miejscu do napawania hydła w stolicy, jest publiczna szkoła, w której za bardzo małą opłatą pobierają dzieci naukę. Co czwartku otrzymuje nauczyciel od rodziców każdego ucznia niemal pół piastra. Jeżeli szkoła połączona jest z meczetem albo innym publicznym gmachem w Kairze, wtedy nauczyciel otrzymuje zwykle sztuczkę białego muszlinu na turban, sztukę płótna i parę trzewików co roku; a każdy uczeń lnianą czapkę, cztery lub pięć łokci kartonu, a niekiedy pół sztuki (10—20 łokci) płótna i parę trzewików; czasami także pół albo téż cały piaster. Darunki te opędzają się z uposażeń szkolnych i rozdawane bywają w miesiącu *Ramadanie.* Lekcyje piszą zwykle nauczyciele białą krédą na drewnianych tablicach, i na tych samych tablicach dzieci także pisać się uczą. Nauczyciel siedzi z dziećmi na ziemi, każdy chłopiec trzyma w ręku tabliczkę, albo téż ma przed sobą pewien oddział koranu na pulpicie z palmowych żérdzi rozpięty. Wszyscy, którzy czytać się uczą, odmawiają oraz głośno lekcyje swoje, przyczem ustawicznie jak Żydzi się kiwają. Czynią to najszczególniéj uczniowie przy odczytywaniu koranu, w mniemaniu, że przeto pamięć swą ćwiczą.

Długość dnia na różnych miejscach. W Berlinie i Londynie trwa dzień najdłuższy 16 1/2 a

---

wznieca affekcyi smysłowéj, bo nié ma ciała smysłowego, tylko symboliczne. Idea zaś estetyczna i jéj wizerunek — Ideał, wzniecają uczucie, *ale uczucie piękności*, które nie od materyi, ale od symbolu, od formy zależy. Gdy pojęciami idziemy z dołu w górę, Idea estetyczna idzie z góry w dół, i chce się w Ideale usmysłowić, i wzbudzić uczucie moralne. Ideja że tak powiemy, idzie przez *media*, środki, sposoby w *Pieczątkę*, i wyciska na materyi *Pieczęć* swoję! Ale zawsze zostaje Idea; wklęsła w Pieczątce, wypukłą w pieczęci. Nie mosiądz, nie złoto, nie metal stanowi Pieczątkę i Pieczęć, ale Forma, Symbol, Idea. Okiem widzimy rys, wiedzą wiemy znaczenie, Ideę; dotknięciem tracimy o Materyję, ale nigdy o Formę, o Symbol, w czém Idea mieszka. Idea Estetyczna chce pod Symbolem, pod Formą stać się ciałem, chce się usmysłowić jako Piękność i Śliczność, mieć *Lice*, jako prawda *liczna*, różna i rozmaita w jednéj prawdzie, w jednostce swojéj boskiéj natury. Może nam się to przykładem smysłowym okazać powiedzie: Weźmy wielo-listną Różę; wszyscy powiemy że piękna, że śliczna: ale nie wiemy jeszcze co piękność, co śliczność, i dla czego. Zróbmyż z téj Róży na przykład olejek; będzież dla nas to *extractum*, tak piękne jak Róża? Z Formą zginęła Piękność i Śliczność; woń pozostała, już jéj nie zastąpi, bo ten olejku *galwanizm*, i ta *elektryczność*, tylko smysł chemiczny, tylko węch poruszy. Ale przypuśćmy, że nie zrobimy z Róży olejku, tylko jéj listki oberwiemy; listki i pieniek pozostaną przed nami, ale nie będzie już Róży, bo nie będzie Formy, bo nie będzie Summy, Śliczności, Liczby, Symetryi, Syntezy, okrągło *pięknie*, genetycznie *z Pączka pękającéj* w Jednostce, bo nie będzie *Siła, Wiele*, własną siłą, Władzą, *w Ład rzędem po rzędzie, porządnie z Jednostki w Jednostce*: pozostanie Materyja, ale zniknęła Idea, która do naszéj Idei przemawiała! — Formy tworów natury, są również Formami z Idei Stwórcy, i dla tego naszemu *Ja*, są tak piękne i *nadobne*, ale wtedy tylko, kiedy są już *na dobie*, kiedy ich siła, ich moc, ich śliczność już rozwinięta; jednakże mogą dla nas być *Nienadobnémi*, jeżeli nieuważni, roztargnieni lub czém inném zajęci jesteśmy, lub jeżeli nam jeszcze na *dobę* nie przyszło *nadobności* pojęcie.——

*) Prawdziwa sławiańska narodowa Filozofija nie może być inna jak tylko taka, jaka jest *prawdziwa* u innych narodów, ale język sławiański (w jednem głęboko-umysłowo wyrobionem narzeczu swojem) jako *medium* filozofowania może okazać, że jest z natury organizacyi swojéj filozoficznym i że ma w samym sobie Metod czyli drogę wyprowadzenia z siebie systematu Filozofii. Cała rzecz oto chodzi: Skąd, czém, i jak zacząć. Skoro dobrze *w-ie-my*, (*Je*, w naszém *Ja*, mamy) wtedy dobrze i *zaczujemy i zaczniemy*, i wtedy nam się z tego *środka, serdca*, jako z *Dna rozdni*, z *Deń — Dzień* w nauce mieć będziem, i wtedy nam się jako z dobrze utrafionego *centrum*, rozwiodą koła Psychologii, Logiki, Etyki, Estetyki, a mianowicie Gramatyki filozoficzno-sławiańskiéj, która te wszystkie żywioły musi już mieć naprzód za fundament, a tego fundamentu fundamentem naprzód jest Metafizyka, jako matka wszelkiej umiejętności, i z niejto i nią, umiejętność językową zacząć należy.

Przyp. Red. Lwowskiéj.

najkrótszy 7 1/2 godziny. W Sztokholmie i Upsali najdłuższy 14 1/2 a najkrótszy 9 1/2 godziny. W Hamburgu, Gdańsku i Szczecinie najdłuższy 17 a najkrótszy 7 godzin. W Petersburgu i Tobolsku najdłuższy 19 a najkrótszy 5 godziu. W Tornej najdłuższy 21 1/2 a najkrótszy 2 1/2 godziny. W Archangeln i w Neuherrnhut najdłuższy 20 a najkrótszy 4 godzin. W Norwegii północnéj trwa dzień od 21 maja do 22 lipca, nieprzerwanie; a na Szpicbergach jest dzień najdłuższy pół czwarta miesiąca.

Sprawiedliwość turecka. Pewien Arab żalił się przed Solimanem II. w późną noc na gwałt, jakiego się dwaj nieznajomi w jego domu dopuścili. Sułtan wysłuchawszy zażalenia, pospieszył z Arabem, kazał pogasić wszystkie świéce, schwycić winowajców, obsłonić im głowy płaszczami, i sztyletami pozabijać. Po wykonaniu tego rozkazu, gdy znowu izbę oświetlono, spojrzał Sułtan na twarz każdego zabitego, rzucił się na kolana, podniósł ręce ku niebu, i podziękował przedwiecznemu. — »Jakąż łaską obdarzyło cię niebo?« zapytał jego ulubieniec. »Wezyrze!« odrzekł Soliman, »ja mniemałem, że tylko moi synowie tak szkaradnego gwałtu dopuścić się mogą; dla tego rozkazałem pogasić świéce. Obawiałem się, aby wrodzone uczucie ojcowskie, nie przeszkodziło mi wykonania sprawiedliwości, jaką wszystkim moim poddanym bez różnicy osoby i stanu wymierzać powinienem. Przyznaj teraz sam, ażalim niebu dziękować nie powinien, gdym się przekonał, żem bez poświęcenia moich synów, sprawiedliwość wykonał.«

Sztuczne drzewo. W *Burton-Constable*, majętności sir Clifforda, zwraca na siebie nadzwyczajną uwagę mechaniczne, pomarańczowe drzewo. Liść jego jest z bronzu, kwiecie z porcelany *Sevré*, a żółte, śklanne lampy wyobrażają pomarańcze. Siedm ptaków najpiękniejszém pierzem okrytych, śpiewa i skacze z gałązki na gałązkę, w gnieździe zaś jest troje młodych pisklął, które rodzice karmić się zdają. Sztuczna maszynerya ta jest we środku drzewa ukryta, i pochodzi z Paryża.

Ogórki na nowy sposób kwaszone. Ogórki kwaszone, aby były doskonałe, powinny być smaczne, twarde i pięknego zielonego koloru. Na ten cel bierze się świéże ogórki średniéj wielkości, i zdejmuje z nich tarkiem skórkę; poczém nalawszy w miedziane naczynie winnego octu, i zaprawiwszy go solą, pieprzem, tudzież innémi korzeniami, wszystko to gotuje się przez czas niejaki. W czasie gotowania, wrzuca się weń ogórki i miesza je nad całkiem miernym ogniem. Potém odstawiwszy od ognia naczynie, miesza się ogórki w occie, aż pokąd tenże prawie zupełnie nie wystygnie. W przeciągu tego czasu ogórki zżółknieją, ale prawie zaraz potém odzyskają swój dawny kolor zielony. Nakoniec przechowuje się je w śklannych słojach albo kamionkach.

Doktor Schubeare w Londynie skazanym był na stanie pod pręgierzem, za to, iż buntownicze pisemka drukować kazał. Podczas wykonania wyroku puścił się deszcz ulewny. Doktor był bardzo czysto ubrany; jeden z jego przyjaciół posłał mu taczkarza z parasolem, by go podczas dészczu trzymał nad stojącym pod pręgierzem doktorem. Taczkarz wykonał to zlecenie z wielką cierpliwością, aż pokąd nie upłynął wyznaczony czas stania. Na drugi dzień z-rana, wszedł taczkarz do pokoju doktora Schubeare i rzekł: »Spodziéwam się, iż wielmożnego pana w dobrém zdrowiu zastaję, i że wczoraj podczas téj wielkiéj słoty nie nabawiłeś się kataru. — »Przyjacielu!« odrzekł doktor zdziwiony tym nadzwyczajnym udziałem, »toż ci nie zapłacono za przysługę, którąś mi wczoraj wyświadczył?« — »O, i owszem wielmożny panie, otrzymałem za to gwineę.« — »Czy sądzisz może, że ci za mało? Wszak dłużéj nad kwadrans nie trzymałeś nademną parasola?« — »Wszystko to prawda. Jakoż praca moja nie była wielką; ale wyobraź sobie wielmożny pan hańbę, jaką przeto poniosłem!« — Doktor uznał tę odpowiedź za tak prosto-duszną, iż zamiast oburzenia się, wyjął z sakiewki pół gwinei i dając ją taczkarzowi rzekł: »Oto masz jeszcze w dodatku, a teraz zostaw mnie samego.« — »Dziękuję najuniżeniéj!« odrzekł taczkarz z głębokim ukłonem. »Idę już idę, ale — jeszcze tylko jedno — ja mieszkam nad brzegiem pod numerem 317 — jeżeliby pan potrzebował jeszcze kiedy podobnéj usługi, proszę nikomu innemu, jak tylko mnie dać zarobić.«

Nowy poncz. Weź 18 cytryn, jeden gran tartéj muszkatowej gałki, i pięć granów cynamonu, wybierz z dwunastu tych cytryn ziarnka, i nalej na to wszystko butelkę rumu, poczém niech 24 godzin postoi. Następnie weź cztéry butelek rumu, cztéry butelek wody i dwa funty przedniego cukru, wyciśnij w to sok z osmnastu cytryn, wymieszaj wszystko porządnie, i przystaw w porcenalowém naczyniu do ognia. Gdy płyn ten wreć zacznie, naléwaj doń pomału, mieszając bezustanku, dwie butelek mléka. Gdy się to stanie, odstaw naczynie od ognia, obwiąż je serwétą w górze i niech dwie godzin postoi. Potém filtruje się płyn, pokąd się zupełnie nie wyklaruje, ściąga w butelki i mocno zatyka. Poncz ten daje się zawsze na zimno, jest on bardzo zdrowy, smaczny i bardzo długo się przechowuje.

Zabawne uwiadomienie. W jednym francuzkim dzienniku, czytano niedawno następujące uwiadomienie: »Tysiąc dolarów przyrzekam temu, kto dla mnie żonę wynajdzie. Urodziłem się w północno-zachodniéj części Ameryki roku 1806. Odbyłem sześć wypraw w Indyjach. Odniosłem sześć ran w głowę w pojedynkach. Już siedm razy zabiérałem się do stanu małżeńskiego. Mam 18,000 dolarów majątku; 10,000 w dobrach a 8,000 w pieniądzach. Wady moje są następujące: Na prawém licu mam znamię, a nad lewém okiem brodawkę. U prawéj ręki brakuje mi trzeciego palca, a na lewą nogę utykam; zresztą podobien jestem zupełnie do innych ludzi. W polityce należę do umiarkowanych, w religii do wolnomyślnych. Czasami pijam wino. Na zimno jestem niecierpliwy. Piękna płeć może być pewną, iż znajdzie we mnie czciciela, a mianowicie ta niewiasta, która prócz mnie żadnego innego kochać nie będzie. Żona którą sobie wezmę, może mieć lat 25 do 30, wdowa byłaby dla mnie dogodniejszą. Niewiasty płoche, lekkiego sposobu myślenia, szczególniéj które lubią rozrywki, piją herbatę, dużo mówią, tudzież zbyt stare i zbyt młode dziéwczęta, powinny sobie mnie z głowy wybić.

Kwakierka. Pewien adwokat odjéżdżając z oberży po śniadaniu, ujrzawszy prześliczną gospodynię wyznania Kwakrów przy kominku, zbliżył się do niéj i rzekł: że w żaden sposób odjechać nie może, pokąd mu piérwéj całuska nie da. Kwakierka odrzekła mu na to skromnie: »Przyjacielu, to się nie godzi.« — »A ja przysięgam na Boga«, odezwał się adwokat, »że piérwéj nie odjadę, póki całuska nie dostanę.« — »Ha, kiedyś tak się zaprzysiągł, mój przyjacielu, więc ci odmówić nie mogę. Ale zaklinam cię, abyś w tym względzie często nie przysięgał!«

REDAKTOR J. N. KAMIŃSKI. — NAKŁADEM SPADKOBIERCÓW F. KRATTERA. — DRUKIEM P. PILLERA.